Damon Knight

Potwór z gwiazd

(The Star Beast)

Planet Stories, Spring 1949
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Pokład obserwacyjny *Prezydenta Marcusa* o tak wczesnej porze arbitralnego poranka statku, był zupełnie pusty poza dwiema bezkształtnymi postaciami. Jedna z nich była martwa.

Ciało leżało rozciągnięte na krzywiźnie pokładu, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy szybami wejściowymi. Miało ręce i nogi, jeśli ktoś dokładniej przyjrzał się bezładnej kupce splątanych części garderoby; miało siwą brodę i purpurową twarz.

Druga z postaci nie miała ani członków, ani twarzy. Była czarna i wyglądała bardziej na kupę błota, niż na cokolwiek innego: pięciostopowa bryła z czarnego błota, lekko spłaszczona po obu stronach, z kiścią czarnych grubych włóknistych wypustek na wierzchołku. Poruszyła się lekko, nieco opuszczając włókienka w stronę zwłok; potem odpłynęła od nich, a wypustki wycelowane były prosto w górę, w gwiazdy.

Phil Horitz wjechał na górę, na dziobowym końcu pokładu. Pozwolił by lewitor wypchnął go łagodnie z szybu, a potem wszedł na przezroczyste tworzywo pokładu i popatrzył na niewielki niebieski dysk Ziemi. Stał plecami do ciała i obserwującej je istoty. Zapalił papierosa, mocno się zaciągając, a następnie odwrócił się do tyłu.

Zaklął, odrzucił papierosa, i w tej samej chwili skoczył przed siebie. Ślizgając się, zahamował przed zwłokami i upadł koło nich na kolana.

— Nie żyje — powiedział. — O, Boże.

Przeszukał szybko zwłoki i znalazł płaskie metalowe pudełko przymocowane za pomocą srebrnego łańcucha do piersi zmarłego. Spróbował poruszyć wieczko; otworzyło się bez trudu. Pudełko było puste.

Horitz westchnął i uniósł podbródek martwego mężczyzny. Pod siwą brodą widać było mocno wgłębioną w ciało czerwoną linię otaczającą gardło.

Wstał i nacisnął przycisk komunikatora na nadgarstku.

— Walsh — powiedział. — Sommers. Natychmiast wjedźcie na pokład obserwacyjny. Thomasson został zamordowany.

Niski głos w jego uchu zaklął gorąco. Nie czekał aż tamten skończy. Szybko zmienił ustawienia komunikatora i powiedział:

— Proszę z kapitanem Tookerem. Tu mówi Philip Horitz.

Odezwał się zrzędliwy męski głos:

— Tak, Horitz? Czego pan chce?

Horitz powtórzył swoją wiadomość i dodał jeszcze:

— Zaniosę ciało Thomassona do jego kabiny. Proszę zabrać lekarza okrętowego i spotkać się tam ze mną.

Z kanału lewitora, kilkanaście metrów dalej, wyskoczyły dwie postaci; jedna pękata i siwowłosa, druga szczupła i młoda. Podbiegli do Horitza, ciężko sapiąc. Ten pękaty, Walsh, ciągle jeszcze przeklinał.

— Pilnowałem go jak dzieciaka — protestował. — Powiedział mi, że dzisiaj ma zamiar wstać o dziewiątej, tak więc ustawiłem swój budzik na ósmą. Dlaczego, u licha, to zrobił?

— Daruj sobie — odparł Horitz. — Zrobił to i już. Ja łapię go za głowę. Sommers, ty bierzesz za nogi. Walsh, jak myślisz, dasz radę unieść Oskara?

— Posłuchaj, Phil — przerwał mu raptownie Sommers. — Czy Równania znikły?

— Tak — odparł mu Horitz. — Nie ma ich.

Walsh chrząknął i otoczył ramionami czarne stworzenie. Uniósł je bez żadnych widocznych oznak wysiłku. Grube wypustki zafalowały w jego stronę, a następnie z powrotem się wyprostowały, ignorując go. Pozostali dwaj podnieśli ciało Thomassona i cała trójka udała się w stronę szybu lewitora, którym przybyli.

Przy drzwiach kabiny zmarłego, czekali już na nich kapitan Tooker i oficer medyczny, doktor Evans. Tooker wręcz kipiał ze złości.

— I wy nazywacie się agentami Służby Ochrony? — wykrzyczał. — Było was trzech, do pilnowania jednego człowieka i nie udało wam się to. Mam zamiar zrobić piekło wokół tej sprawy, Horitz, i zobaczymy, czy mi się to nie uda.

Horitz i Sommers położyli ciało na łóżku, a doktor Evans w milczeniu przystąpił do jego badania.

— Znajdziemy zabójcę — ponuro oświadczył Horitz, — w przeciwnym razie każde piekło jakie będzie pan w stanie zrobić, będzie jak dmuchnięcie w porywie huraganu. Jak na razie nie zna pan nawet połowy tej sprawy.

— Wiem, że na moim statku zginął człowiek — stwierdził Tooker.

— Człowiek! — odparł Sommers, spoglądając na niego. — Jeżeli nie odzyskamy Równań, zginąć może cała planeta.

— Jakich równań? — spytał Tooker. — O czym pan, u diabła, mówi.

— Równania Thomassona — wyjaśnił Sommers — stanowią rozwiązanie problemu podróży kosmicznej z prędkością nadświetlną. Profesor Thomasson wywiódł je z badań skorupy kosmicznej tego stworzenia — wskazał ręką na Oskara — które przeprowadził kiedy wylądowało ono na Plutonie, w zeszłym roku.

Kapitan Tooker obrzucił Oskara spojrzeniem, pełnym wyraźnej niechęci.

— A więc — spytał — co panowie mają zamiar w tej sprawie zrobić?

— Musimy przeszukać statek — spokojnie oznajmił Horitz. — Ale to pewnie nic nie da. Są setki sposobów, na które zabójca mógł ukryć Równania, tak że żadne przeszukanie ich nie odnajdzie. Obawiam się, że naszą jedyną szansą jest skłonienie jedynego świadka zabójstwa, aby powiedział nam kto udusił garotą Thomassona.

— Świadek? — spytał kapitan, wpatrując się w agenta. — Kto to?

Horvitz odwrócił się, aby obrzucić wzrokiem czarną, pięciostopową bryłę, z łagodnie falującymi wypustkami.

— Oskar — powiedział.

Oskar nadleciał z przestrzeni międzygwiezdnej niemal rok temu, w cienkiej, przydymionej skorupie, niewiele twardszej od niego samego. Skorupa była częściowo zniszczona i leciała wirując w niekontrolowany sposób; szczęśliwym trafem przechwycił ją statek dostawczy i zaholował na Plutona. Gazety ochrzciły znajdujące się w niej stworzenie, Centaurianinem, ponieważ przybyło ono generalnie z tego sektora kosmosu; ale tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Naukowcy w stacji na Plutonie, którzy w pocie czoła pracowali nad Oskarem przez cały rok, dowiedzieli się na jego temat irytująco mało. Nie miał oczu, ani uszu, a jednak w jakiś sposób był świadom rzeczy wokół siebie. Nie miał też żadnego rozpoznawalnego mózgu; ani kręgosłupa, czy płuc; nie miał systemu krążenia, ani wydalania. Uważali, że pozyskiwał potrzebną mu energię z promieniowania kosmicznego; ale nie wiedzieli tego z pewnością.

Jego wypustki, albo włókna – grube, podobne do palców organy na wierzchołku bezkształtnego ciała – nie pełniły żadnej konkretnej funkcji, którą byliby w stanie wykryć. Nie reagowały na dźwięk, światło, ciepło, czy jakiekolwiek znane promieniowanie – ale podążały one za poruszającymi się obiektami, zarówno w oświetlonym pomieszczeniu, jak i w zupełnie ciemnym.

W jakiś sposób Oskar potrafił emitować i odbierać fale radiowe. Dzięki temu byli w stanie jako tako się z nim porozumieć. Podejrzewali, że to nie był jego normalny sposób komunikowania się, ale kiedy pikali do niego sygnałami z nadajnika Morse'a, uprzejmie im odpikiwał. W trakcie tego roku, powoli i z trudem, przeszli od „1 + 1 = 2" do „9 do potęgi 3 = 729", do prostych rzeczowników i kilku czasowników, w kodzie który wypracowali w miarę postępów badań. Potrafili coś powiedzieć Oskarowi, a Oskar potrafił mówić do nich. Jedyny problem polegał na tym, że nic co powiedział Oskar nie miało sensu – dla ludzi.

— Na tym właśnie polega cała trudność — wyjaśniała doktor Y. Ilyanov, przeczesując palcami swoje gęste, żółte włosy.

Doktor Ilyanov była jednym z dwojga asystentów, których Thomasson zabrał ze sobą, a przy tym była bardzo ładna. Drugim był doktor Hugh Meers, który był łysy i w ogóle nie był ładny.

— Rozumie pan, Oskar postrzega – ale nie postrzega ludzkimi zmysłami, ani nie myśli zgodnie z ludzkimi wzorcami. Niewątpliwie widział zabójstwo profesora Thomassona; ale widział je – w odmienny sposób.

— Gdybyśmy mogli dostać choćby strzępek opisu — powiedział Walsh. — Z pewnością potrafi określić, na przykład, rozmiar? Gdybyśmy wiedzieli, czy morderca był dużym człowiekiem, czy małym, nawet to mogłoby nam bardzo pomóc.

— Zaryzykuję, że myśli pan o pewnym konkretnym dużym człowieku — wtrącił doktor Meers. — O Carsonie Jahore, ambasadorze Federacji Jowiszańskiej.

Horitz skinął potwierdzająco głową.

— Główny podejrzany. Federacja zawsze była za duża, jak na posiadane przez siebie planety. Oddaliby wszystko za napęd kosmiczny,

który pozwoliłby im powalić Ziemię na deski w dziedzinie kolonizacji międzygwiezdnej.

— A więc — powiedział Walsh, — wracając do mojego pytania? Czy Oskar potrafi nam określić różnicę między dużym człowiekiem i małym?

Doktor Meers zmarszczył brwi.

— Nie w taki sposób, jak mógłby zrobić to człowiek — odparł. — Jeśli postawi pan jednego koło drugiego, wtedy, być może tak. Proszę pamiętać: być może. Ale… czy nie rozumie pan, że on nie posiada żadnego z naszych zmysłów, poza dotykiem? Zamiast nich prawdopodobnie ma całą gamę swoich własnych. Bóg jeden wie, w jaki sposób rozróżnia jednego człowieka od drugiego, czy też jedno jabłko od drugiego. W każdym bądź razie, nie robi tego na nasz sposób.

— Posłuchajcie, panowie — niecierpliwie wtrącił kapitan Tooker, — tracimy czas. Dlaczego po prostu nie przeszukać wszystkich na pokładzie?

— Czy ma pan wystarczającą władzę — spytał dyplomatycznie Horitz, — aby rozebrać ambasadora Jahore i jego małżonkę do naga, a następnie wykonać na nich oraz na ich rzeczach pięćset dwadzieścia różnych testów chemicznych? To jest, tak na początek? Jeśli pan ma, to proszę bardzo. Ja, nie mam.

Kapitan wzdrygnął się.

— Jesteśmy więc w tym samym punkcie — stwierdził Horitz, wstając. — Ma pan rację, tracimy czas. Panie kapitanie, czy ma pan listę pasażerów?

— Tak, tutaj — odparł Tooker, wyciągając ją. — Muszę już wracać. Jeśli coś się stanie, proszę mnie wezwać. I lepiej, aby stało się to szybko! — dodał, wychodząc.

— Dobrze. — Horitz zwrócił się do obojga naukowców. — Doktorze Meers, czy mogą państwo wraz z doktor Ilyanov spowodować, by Oskar zrozumiał choć tyle: żeby dał znać, kiedy zobaczy człowieka, który był dzisiaj rano z Thomassonem na pokładzie obserwacyjnym?

Meers wzruszył ramionami.

— Możemy spróbować — powiedział. — Ale niczego nie obiecuję.

Przysunął swoje krzesło do prymitywnego aparatu Morse’a na stole i zaczął pikać kluczem.

Wypustki Oskara falowały powoli do przodu i do tyłu, tak jakby interesowało go wszystko, tylko nie piknięcia radiowe.

Meers przerwał, odczekał chwilę, a potem spróbował jeszcze raz.

— Pik-pik — oznajmił wzmacniacz.

Meers skinął głową.

— Powiedział, że tak. Ale nie dam głowy, czy naprawdę zrozumiał czego chcemy.

Horitz powiedział do swojego komunikatora.

— Centrala. Czy moglibyście skontaktować się z panem Abbotem, panną Acheson, panem i panią Adler oraz panem Aguirezem? Proszę ich poprosić o przybycie do kabiny B39.

Jeden po drugim, pasażerowie, których nazwiska rozpoczynały się na literę A, proszeni byli do kabiny i pokazywani Oskarowi. Oskar nie odezwał się nawet słowem. Zdumionych, albo oburzonych pasażerów wyprowadzano i do środka wpuszczano kolejną grupę.

Przeszli w ten sposób przez litery B, C, D, E, F, G, H, I… Cała lista liczyła około 150 osób, niektórzy z nich przylecieli na pokład promami w układzie Jowisza, inni Marsa. W końcu Horitz zarządził przerwę na lunch. Doktor Meers skarżąc się na niedyspozycję, odszedł aby położyć się w swojej kabinie. Trzech ludzi ze Służby Ochrony zostało samych, z doktor Ilyanov – oraz Oskarem.

Walsh, chrupiąc kanapkę z peklowaną wołowiną, popatrzył złowrogo na czarną bryłę.

— Prawdę mówiąc, pani doktor — powiedział — czy on nie wywołuje u pani dreszczy?

Lekko się uśmiechnęła.

— Prawdę mówiąc – tak. Czasami nawet mi się śni.

Sommers spojrzał na nią z ciekawością.

— Co to za sny? — zapytał

— No cóż… — zawahała się. — To naprawdę głupie, ale… Widzi pan, ostatniej nocy, myślałam o czymś, co kiedyś półżartem mówił biedny profesor Thomasson, kiedy dyskutowaliśmy o Oskarze. Powiedział, że Oskar może nie być kompletnym organizmem. — Skinęła ręką w stronę czarnego stworzenia na stole. — Wiecie panowie – ten jego płaski spód, na którym się porusza, oraz te płaskie obszary na bokach. Może nimi chwytać różne rzeczy. Jeśli przyłożycie do nich rękę, przytrzyma ją.

Horitz skinął potwierdzająco głową.

— Thomasson pokazywał mi tę sztuczkę. — Wyciągnął rękę i położył dłoń na czarnym, kleistym boku Oskara. — Uścisk ręki, Oskarze.

Dłoń widocznie zatopiła się w czarnym ciele. Kiedy Horitz ją odsunął, słychać było wyraźne cmoknięcie.

— Och — z niesmakiem oznajmił Walsh.

— No tak — podjęła temat doktor Ilyanov, — wiecie panowie, że skorupa kosmiczna Oskara była zniszczona. Profesor Thomasson sugerował, że wypadek, który ją uszkodził, mógł także uszkodzić samego Oskara – że tak naprawdę, gdyby był tutaj w całości, byłoby trzech lub czterech Oskarów połączonych razem…

Roześmiała się z zakłopotaniem.

— W każdym razie, kiedy zasnęłam ostatniej nocy, prześladował mnie koszmar. Śniło mi się, że widziałam unoszącego się w kosmosie Oskara, ale było ich kilku. Z tyłu przymocowana była do niego podobna postać, a dwie mniejsze po obu bokach. Wyglądał trochę jak coś w rodzaju czarnego krzyża – z tymi okropnymi wąsami falującymi w każdym punkcie jego ciała. I tak unosiły się razem, na tle gwiazd…

— No dobrze — spytał zaintrygowany Horitz. — Ale co w tym było takiego strasznego?

— Naprawdę, nie wiem — odparła doktor Ilyanov. — Ale było…

Horitz zgniótł opakowania po swoich kanapkach i wrzucił je do zsypu na śmieci.

— Możemy wracać do roboty — powiedział. Wziął do ręki listę pasażerów i wyczytał: — Jaeger, Jahore, Jessamin, Johnson.

Oskar obserwował z zainteresowaniem poruszające się po pomieszczeniu istoty, pozostawiające za sobą cienie płomienistej aury. Ci ludzie mieli w sobie dziwne i czasami przerażające kontrasty, pomyślał, ale niezaprzeczalnie byli bardzo malowniczy. Będzie miał o czym opowiadać, kiedy wróci do domu.

Jedno ze stworzeń wstało i przesunęło się przez pokój. Jego pałająca osłona tworzyła jaskrawą krezę, z promieniującymi z niej smugami ciemniejszego żelu. Znajdujące się wewnątrz niej przyciemnione jądro, wydawało się być zbudowane inaczej niż w przypadku innych. Oskar śledził ją falującymi patrzałkami na wierzchołku własnego jądra. Gdyby tylko mógł doprowadzić do składu z tym osobnikiem, pomyślał, niewykluczone że udałoby mu się czegoś na ten temat dowiedzieć. Może został jakoś mocno uszkodzony kiedy był młody; albo może należał do zupełnie innego gatunku. Z tymi ludźmi, trudno powiedzieć.

Do pomieszczenia weszły kolejne dwie istoty. Jedna z nich była wysoka, ale miała niewielkie jądro, ukształtowane tak jak to, które właśnie badał. Poczuł ją z zainteresowaniem, ale była równie mało komunikatywna, jak pozostałe. Postać obok niej miała niezbyt inspirujący kształt, ale jej aura była znajoma. Przypomniał sobie, że czegoś od niego oczekiwano.

Carson Jahore był wielkim mężczyzną o ciemnej skórze i pięknych włosach, charakterystycznych dla jego rasy. Mówił właśnie głośno:

— …nie mam zamiaru tego tolerować, czy to jasne? Czy myślicie, że możecie zaciągnąć tu mnie oraz moją żonę, jak jakichś zwykłych podejrzanych kryminalistów? Domagam się przeprosin, albo na Boga, potoczą się głowy!

— Pik-pik-pik — oznajmił wzmacniacz na stole.

— Oto pańskie przeprosiny — odparł Horitz, oczy mu rozbłysły. — Gdzie pan ukrył równania, panie ambasadorze?

— Co to ma znaczyć? — zaryczał ambasador. — Jakie równania? Co to za stworzenie? Czy wyście poszaleli?

Dr Ilyanov położyła dłoń na ramieniu Horitza.

— Proszę — powiedziała — nie działać zbyt pośpiesznie. Pamięta pan, nie wiemy czy Oskar nas rozumie. Przynajmniej dokończmy przeglądu listy pasażerów i zobaczmy, czy nie wskaże jeszcze kogoś innego.

— W całym swoim życiu nigdy nie słyszałam o takim nonsensie — wtrąciła pani Jahore, niewielka i porywcza kobieta. — Chodźmy, Carson, pójdziemy do kapitana i powiemy mu o tym.

— Wezwałem już kapitana — wyjaśnił Horitz. Spojrzał na doktor Ilyanov. — Oczywiście, ma pani rację. Walsh, odprowadź pana ambasadora i panią Jahore do sąsiedniego pokoju. Jeśli będą sprawiali kłopoty, możesz użyć paralizatora.

Walsh, z pistoletem elektrycznym w dłoni, odprowadził parę do drugiego pokoju. Jeszcze przez jakiś czas dolatywały do nich wrzaski Jahore.

— Spytajmy Oskara, czy jest pewien — zasugerował Sommers.

Doktor Ilyanov podeszła do nadajnika Morse'a i wystukała wiadomość.

— Pik-pik — odparł Oskar.

— No cóż, dla mnie to absolutnie wystarczy — oświadczył Sommers, — ale obawiam się, że trzeba będzie przekonać również i innych.

Kapitan połączył się z Horitzem przez swój naręczny komunikator, zaklął z obawą, kiedy usłyszał, że zatrzymali ambasadora i obiecał przyjść do nich później. Horitz nadal wyczytywał operatorowi z centrali nazwiska osób z listy, sprowadzając do kabiny kolejne grupy pasażerów, którzy stawali się coraz bardziej nerwowi, w miarę jak po statku rozprzestrzeniały się pogłoski.

Horitz chodził w tą i z powrotem po pomieszczeniu, uderzając pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

— Musi być coś, co przeoczyliśmy — stwierdził. — Trzeba określić na czym polega blokada semantyczna między nami a Oskarem. Wiem, że to jest coś prostego. Czuję to, ale…

Doktor Ilyanov zmarszczyła z namysłem brwi.

— Mam pewien pomysł — powiedziała. — Czy to możliwe, aby człowiekiem, którego szukamy, był kapitan Tooker?

— Tooker! — parsknął Horitz.

— Tak. Widział pan, jak zazdrośnie strzeże swojej pozycji na tym statku. Gdyby Równania Thomassona zostały zastosowane w praktyce, z pewnością utraciłby swoją pracę. Dla człowieka takiego jak on, byłoby to gorsze niż śmierć. A proszę pamiętać, że nie było go w tej kabinie od czasu, gdy poprosiliśmy Oskara o wskazanie mordercy.

— Może pani mieć rację — powoli oznajmił Horitz. — Ale nawet gdyby Oskar wskazał go palcem, niczego to nie będzie dowodzić, dopóki nie dowiemy się, jak Oskar to wszystko rozumie.

— Proszę, spróbujmy tego — nalegała dziewczyna. — Mam… mam pewną teorię.

— Tak? — zachęcił ją Horitz.

Powoli spłonęła rumieńcem.

— Wiem, że to brzmi absurdalnie — powiedziała, — ale wydaje mi się, że Oskar wskazuje nam wszystkich na pokładzie tego statku, którzy mogliby zabić profesora Thomassona – którzy mieli do tego powody. Sądzę, że on postrzega to tak samo, jak my postrzegamy wzrost człowieka, czy sposób jego poruszania się.

Horitz popatrzył na nią z powątpiewaniem.

— Czy nie rozumie pan — kontynuowała, — że to by wyjaśniało dlaczego wskazał nam dwie osoby, kiedy prosiliśmy go tylko o jedną? One wyglądają dla niego tak samo — nie potrafi ich od siebie odróżnić!

— Może to właśnie to — przyznał Horitz. Wyciągnął komunikator i powiedział do niego: — Proszę z kapitanem Tookerem. Tu mówi Horitz.

— Tak, Horitz? — dobiegł do nich głos kapitana.

— Czy mógłby pan zaraz przyjść do nas? Myślę, że udało nam się nadgryźć tę sprawę.

Kilka minut później kapitan wszedł do kabiny.

— Horitz — powiedział, — zasłużył pan na medal. Kto to?

— Pik-pik-pik — ogłosił wzmacniacz.

— Być może, pan — oznajmił mu Horitz. Wyciągnął pistolet elektryczny i machnięciem skierował kapitana pod ścianę. — Bez urazy, panie kapitanie, ale muszę się upewnić.

— Co! — krzyknął kapitan, a twarz zaczęła mu czerwienieć. — Czy pan oszalał, Horitz? Proszę odłożyć ten pistolet!

— Niech pan się zamknie — odparł Horitz, — proszę. — Podszedł do drzwi łączących pomieszczenia i powiedział: — Dajcie ich.

Walsh i Sommers wprowadzili swoich więźniów z powrotem do kabiny. Jahorowie jakiś czas temu zrezygnowali już z protestów, ale teraz widząc, że nadal nie zostaną wypuszczeni, na nowo nimi wybuchli. Kapitan próbował ich przekrzyczeć i uspokojenie całego towarzystwa zabrało Horitzowi pełną minutę.

Kiedy w końcu się uciszyli, powiedział:

— Oskar wskazał na każdego z was, jako na osobę, która zamordowała profesora Thomassona. Nadszedł więc czas na małą spowiedź.

Nikt nie odezwał się nawet słowem. Horitz wziął listę pasażerów ze stołu i popatrzył na nią.

— No dobrze — stwierdził. Zmienił ustawienia komunikatora i powiedział: — Dział Stewardów? Tu mówi Horitz, z kabiny B39. Poproszę o stewardów, którzy obsługują pokład A, sekcję 3, pokład C, sekcję 5 oraz kwatery kapitańskie. Proszę, aby przyszli tu jak najszybciej.

Stewardzi, kiedy pojawili się w kabinie, wyglądali na wystraszonych. Było ich pięciu: dwóch z każdej sekcji pasażerskiej i jeden obsługujący Tookera. Ten ostatni zwrócił się do Horitza:

— Czy coś jest nie tak, proszę pana?

— Nic, czym musieliby się panowie przejmować — uspokoił ich Horitz. — Po prostu stańcie tam i odpowiedzcie na wszystkie pytania, które zostaną wam zadane. — Odwrócił się w stronę Jahore. — Profesor Thomasson został zabity rano, o dosyć wczesnej godzinie — powiedział. — Zgodnie z opinią lekarza okrętowego, kiedy go znalazłem, nie żył od jakichś trzydziestu minut, a było to o siódmej trzydzieści. Panie ambasadorze, o której dzisiaj rano opuścił pan swoją kabinę?

— A co to cię obchodzi, ty bezczelny szczeniaku! — wrzasnął Jahore.

— Odpowiedz mu, kochanie — wtrąciła się jego żona. — Zakończmy już tę aferę z tym zwierzakiem.

— No, dobrze — uległ ambasador. — Wstałem o dziewiątej.

— Czy to się zgadza? — spytał Horitz stewardów.

Odezwał się jeden z nich.

— Tak, proszę pana. Tak mi się wydaje. Byłem na korytarzu, kiedy Jego Ekscelencja wychodził z kabiny, i było to koło dziewiątej.

Horitz lekko się skłonił.

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie ambasadorze. Pan i pańska żona jesteście wolni.

— Chwileczkę — nieoczekiwanie powiedział Sommers. — Oskar zapikał, kiedy w pokoju byli pan ambasador i jego małżonka, nieprawdaż? Pani Jahore, a kiedy pani wyszła z kabiny?

— O dziesiątej trzydzieści — zimno odparła kobieta.

— To prawda, proszę pana — potwierdził steward. — Pracowałem w tej sekcji niemal przez cały ranek i widziałem, że pani Jahore wychodzi właśnie o tej godzinie.

— Proszę przyjąć także i moje przeprosiny — zwrócił się do Jahore'ów Tooker, próbując ułagodzić ich gniew. — Zapewniam państwa, że nie miałem nic wspólnego z tą sprawą.

— Panie kapitanie, pan sam jest ciągle w lesie — stwierdził kwaśno Horitz.

Pani Jahore pociągnęła męża za rękaw, ale ambasador wyglądał na zainteresowanego dalszym rozwojem sytuacji.

— To pan również w tym siedzi? — powiedział do Tookera. — Chętnie zostanę i zobaczę jak to się skończy.

Horitz popatrzył na Tookera.

— Więc jak, panie kapitanie?

— Wyszedłem ze swojej kabiny o szóstej trzydzieści — odparł kapitan.

— Zgadza się? — spytał Horitz.

Steward zakasłał.

— Mniej więcej, proszę pana. Powiedziałbym, że było to bliżej szóstej czterdzieści.

— Dokąd się pan udał, panie kapitanie? — kontynuował Horitz. — Do sterówki?

— Z całą pewnością.

— Kto miał tam wtedy wachtę?

— Pierwszy oficer – Marshall — oznajmił gniewnie kapitan.

Horitz uniósł swój komunikator.

— No, dobrze! — powiedział kapitan, unosząc rękę. — W sterówce pojawiłem się dopiero o siódmej trzydzieści. Nie mogę, czy też raczej nie chcę, tłumaczyć się z tego czasu. Pewnie myśli pan sobie, że będzie mógł pan posłać mnie za to na stos.

— Niewykluczone — otrzeźwił go Horitz. — Dla pańskiego własnego dobra, radziłbym panu powiedzieć mi, gdzie pan był.

Kapitan nagle oklapł.

— Byłem… odwiedzałem pewną panią — wyznał. — To wszystko, co mogę panu powiedzieć, ale to prawda. — Ponownie się wyprostował i popatrzył z gniewem na Horitza. — A jeżeli już o tym mówimy, to o której pan wstał dzisiejszego ranka?

— O siódmej dwadzieścia — odparł Horitz. — No cóż, ktoś z was dwojga… — zaczął.

Jeden ze stewardów zakasłał.

— Przepraszam, proszę pana — oświadczył. — Ale to, co pan powiedział, nie jest prawdą.

Horitz popatrzył na niego nierozumiejącym spojrzeniem.

— Co nie jest prawdą? — spytał.

— Nie wstał pan o siódmej dwadzieścia, proszę pana. Widziałem, jak wychodził pan z kabiny, nie później niż o szóstej czterdzieści pięć.

Horitz tylko gapił się na niego z osłupieniem.

— Dlaczego pan kłamie? — spytał, z zaintrygowaniem.

— Nie kłamię — sztywno odrzekł mężczyzna. — Doskonale to pamiętam, ponieważ tak wczesna pora, wydała mi się dziwna. Wyszedł pan ze swojej kabiny za piętnaście siódma, a następnie wrócił pan do niej jakieś dwadzieścia minut później. W obydwu przypadkach miał pan zabawny wyraz twarzy – wyglądał pan, jakby był pan oszołomiony. Kiedy pan wrócił, miał pan w jednej ręce jakieś dokumenty, a w drugiej niósł pan swój pasek.

Wszyscy obecni wpatrywali się w Horitza.

— Swój pasek! — powtórzył Sommers. Jego broń przesunęła się tak, by celować w Horitza. — Przykro mi, Phil. Rzuć pistolet.

Horitz rzucił pistolet na podłogę, a Walsh podniósł go.

— Potem ten człowiek wszedł do kabiny, zamknął drzwi na klucz — z podnieceniem opowiadał steward — i mniej więcej dwadzieścia po siódmej wyszedł z niej powtórnie, wyglądając jakby właśnie wstał z łóżka. Wszedłem do pomieszczenia, bo byłem trochę ciekawy i rozejrzałem się po nim, czy gdzieś nie uda mi się znaleźć tych dokumentów, albo czegoś innego. Nie znalazłem dokumentów, ale wokół zsypu na śmieci pełno było skrawków spalonego papieru i popiołu. Dla mnie to wygląda, jakby on je wziął i spalił.

Horitz czuł się zupełnie otępiały. Docierające do jego uszu słowa, nie do uwierzenia, ale obudziły w jego pamięci jakieś echa… wspomnienia, których jeszcze chwilę wcześniej tam nie było.

— Spalił je! — powiedziała dziewczyna z szeroko rozwartymi oczyma. — Ale, dlaczego?

Sommers mówił coś pośpiesznie do komunikatora na nadgarstku i w kilka chwil później do środka wpadł doktor, niosąc ze sobą swoją torbę.

— Phil, daj swój pasek doktorowi Evansowi — polecił Sommers.

To szaleństwo, powiedział do siebie w myślach Horitz. *Ja chyba śnię*. Zdjął cienki pasek z surowej skóry, który nosił na biodrach i podał go doktorowi. *Pamiętam jego twarz. Jego czerwoną twarz, kiedy… Ale przecież ja tego nie zrobiłem! Nie mógłbym*!

Lekarz założył rękawiczki, obrzucając Horitza ostrym spojrzeniem, wziął pasek, a następnie uniósł go do światła. Wyciągnął ze swej torby jakiś duży przyrząd, odciął kawałek paska z brzegu i popatrzył na niego przez okular urządzenia. Przyglądał mu się przez chwilę i skinął głową.

— Resztki ludzkiej skóry — oświadczył. — Bez wątpienia tej właśnie rzeczy użyto do zabicia profesora Thomassona.

— Wydaje mi się, że teraz już rozumiem, co się wydarzyło — powoli wycedziła doktor Ilyanov, patrząc prosto przed siebie. — Zapomnieliśmy o jeszcze jednej osobie, która miała motyw… o Oskarze! On nie chciał, żebyśmy dotarli do gwiazd…

Obróciła się wokół siebie, aż jej spojrzenie spoczęło na twarzy Horitza.

— A pan mu dawał dłoń do uściśnięcia! — przypomniała.

W głowie Horitza zakotłował się koszmar. Niemożliwe rzeczy, pochodzące znikąd wspomnienia, walczyły z jego zdrowiem psychicznym: ciche pokłady, powolna jak ze snu droga na górę, w zalane światłem gwiazd miejsce… i ohydna purpurowa twarz, wpatrująca się bezosobowo w jego.

Wrząc ze wściekłości, jego umysł wycofał się, uciekł od rzeczy, które go raniły. Poczuł, że jego ciało się porusza, czuł że pochwycono go, że walczy, ale miał wrażenie, jakby był tylko przyglądającym się temu wszystkiemu z dużej odległości widzem. Docierające do niego słowa, pozbawione były sensu.

Trzymający go Walsh i Sommers, spoglądali na siebie ponad powalonym ciałem. Mięśnie na potężnych przedramionach Walsha naprężyły się do granic możliwości, a czoło Sommersa pokrywał pot. Stopniowo walka ustała: Horitz leżał nieruchomo, blady, spoglądając w górę niewidzącym wzrokiem.

Doktor Ilyanov podeszła i przyklękła koło niego. Stwierdziła:

— Wyleczymy go. I, oczywiście, nie może zostać ukarany.

Potem powoli odwróciła głowę w stronę czarnej postaci po drugiej stronie pokoju.

— Ale… — dodała — nie możemy również ukarać tego stworzenia!

Wypustki Oskara delikatnie się wykręciły.

KONIEC